

**Józef Czechowicz**  
**„W błyskawicy”, Warszawa 1934**

### **inicjał w błyskawicy**

byłem czym jesteś  
jestem czym będziesz  
ty

z dolin suteryn placów rzek piekarń  
młynów okrętów spojrzeń hut mgły  
z barów rozkwitłych witek i nieb  
tak sennym zrodem na ręce moje  
ściekał  
szept

depcą tygodnie po łózkach stołach  
muska muzyka kwiatami skroń  
niepokój dymi wołam twe imię  
wołam  
bądź

### **autoportret**

stanąłem na ziemi w lublinie  
tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga  
matko dobra  
na deszcz mnie małego tęsknego wynieś  
za miasto tam siano pachnie w stogach

ze snów dzieciństwa mnie wydarł  
z nudów książki szkolnej  
serdeczny jak wydra  
i brat w mundurze  
taki duży  
piłsudskiego żołnierz

tak tak to po kolei  
tupały dni lata nadzieje  
aż zaczęły i mnie dudnić armaty

litwa raz pierwszy  
ciekła przez marszów smugi jak przez palce  
przebiegła z frontu do wierszy  
wiersze o mnie walczą

i znów Litwa jeziornej jesieni  
chora borów na wzgórzach mosiądzem  
wody pod łodzią rumieniec  
na przemian z mową białoruską  
lśnił na wybrzeży wstędze  
we wstędze ręki mej pluskał

wołyń  
jak tam kipiałem  
wesoły  
ciężko i gęsto rosnąc  
w miasteczku o cerkwie białe  
grzmiała moja majowa wiosna

w warszawie już jasne witryny  
smutek zasłonił przede mną  
paryż ocean widziałem przez dym siny  
także laurowo ciemno

znów ziemia lublin pusty  
jak czerwone skały Bretanii  
serce w pół drogi nie ustaj  
dalej  
za nic

## **iliada tętni**

*pamięci stanisława wyspiańskiego*

zamknięte niebo źrenic  
dłonie bezwładne bezradne jak dzieci w grubej ciemności  
nieskończoność to szklistej jesieni  
czy jesień gorąca nieskończoności

tylko w uszach zmarłego płaty huku  
w złotych rzutach wybucha glos  
iliada po bruku chmur łuku  
dudni tętni wlecze promienny a ciężki swój włos

jutrzenka w płaszczu podobnym do wodotrysku  
skacze z rumianej głębin w blask  
a nisko  
nocy ostatnia godzina w bani błękitu i gwiazd  
schodzi pod wodę

głowy okute runem splotów  
czarne smoliste oczy  
ucięte siłą ruchy ostrych dłoni bark  
wznoszą się krzyczą naprzeciw strzelistych lotów  
nagiego torsu śpiewaka zgiętego pod wagą harf

których stworzył smagłych i śmigłych  
biegną bręcząc tarczami o tarcze miedzią  
zwyciężają i giną  
a jest dzień  
włócznie od krwi nie ostygłe  
ciała pachnące bitwą młodej chwały zapowiedzią  
nad rzeką wśród dymu płyną  
w kraczący dzień

achilles ma oczy blade bardzo  
otwarte niebo źrenic  
w mokre od rosy włosy zanurza swe palce słońce i żal  
i jemu tętnią konie tłum tratujące pogardą  
choć wielkie oblicze matki prawdziwie patrzy z fal

apollo bijący strzałami  
drapieżny na obłoku  
apollo odziany zorzą i gniewem co się pod sercem mełł  
twój pocisk wdarł się w pierś jesiennej nieskończoności  
utkwiał po bełt

dlatego w ciszy źrenice  
w nieskończoności jesiennej dłonie  
ale tętnią po chmurach i uszach konnice  
iliady miedzianej konie

## śnica i śniegowca

wczoraj małe podwórko zbierało w garść zamieć  
alarm szyb nie ustawał czułem smutek  
dom z przeciwka sztachety umiem na pamięć  
chłodne barwy na śniegu porastały brudem

znów lampa gaśnie znów  
skroń spadająca w poduszkę  
dotyka płótna  
nici tkane na krzyż są kratą snów  
za nią rozplywa się ciemność smutna  
w przejrzalą sagi gruszkę

brnie przez nurt nocy śnica  
noc złotymi rękoma odgarnia i świat  
patrząca z okien księżycem  
rozwinęła się jasnością w kwiat

łopocą cieniutkie krążki  
snują się formy spłaszczone  
w górę i w dół  
karty olbrzymiej książki  
przerzuca wiatr z pól

za szklanym wysmugiem sań  
wirują smukli i wiotcy  
w grzywach śniegowych włosów  
śniegowi chłopcy  
śnica i śniegowca

zasypiać

## eros i psyche

na morzach nocy odpływ szumi pianą  
jak w szkło w pustkę srebrną przenika poranek  
chce wydobyć z topieli dom mój miasto wzgórza  
słaby i bardzo szary próżno skrzydła trudzi  
mimo że świt z mórz nocy świat się nie wynurza

z zorzy bez horyzontu głosy dwojga ludzi

słowa toczcie się do niej  
powiedzcie znowu  
serce myśl  
miłuję

wracajcie jego słowa wonne  
szepnijcie mu ode mnie to samo  
miłuję

jedno to jest od wieków  
głód zagłada i ty  
jedno to jest od wieków  
głód zagłada i ty

wiatr wieje z siwej nicości  
świt nieznany ma zimny oddech  
aleś ty jak woda rzeźwiąca  
a my razem jak miecz i dłoń

placzę  
miłość smutek wspólne to drzewo  
jak chmura i grzmot  
pod ręką czuję twe serce  
smuci się równie

oczy ci łzami zasłły  
wargi drżą tak skrzydła złamane trzepocą  
to ból nie smutek

nie myśl  
bo może dlatego płacę  
żeś nie widział nigdy moich łez

zapomnij o przeszłych i przyszłych  
opuść błyskawice szalone  
cóż że gwiazdę na której się unosimy  
niebo uroni wkrótce

zapomnienie to ty  
ty jesteś przy mnie  
więc czeka mnie nic i nie żegna przede mną ni za mną

ty wieczność

głębiej szerzej  
niż sądzisz

jesteś sprzed sił  
które czas wydarły z łona bogów  
mocna

miłuję  
miłuję

na morzach nocy odpływ szumi pianą  
jak w szkło w pustkę srebrną przenika poranek  
szarość stoi na lądach beznadziejną ścianą  
ziemia drży chce otrząsnąć się z tej tępej krzywdy  
po coś słuchał człowieka  
rozmowa dwojga zgasła w konstelacjach sekund  
mogłoby nie być jej nigdy

## śpiewny pocałunek

o śpiew mój czochra suchą grzywę koń  
żurawie strzelają ciemne race  
za śpiewem wyrywa się z betonów klon  
chce iść  
a tylko kruche skrzydła gubi i liść  
skrzydła którymi bawią się blade i rumiane dzieci

skowronek trąca strunę  
żurawie skowronki żurawie skowronki  
a jeszcze przecież  
obłoki białorunne  
sypią się na staw na łąki  
na rano  
i namiot gładkich ramion

miłość

śpiew mój sam się lekko jak wstążka wysrebrnia  
ze mnie skowronków klonów konia obłoków  
światło niebios światło pieśni przebrną  
dno dnia zasłane pniami promieni sekund rosą  
śpiew mój ciało śpiewało  
melodię niosąc  
malowaną  
na kamienisty załom  
bryzgami pianą

o chabrowe oczy nie dbam  
chabrowe oczy miał brat  
ale słodyczą krzepką napełnij  
łodygę ust jedwab  
zamilknę jak złoty kwiat  
nieśmiertelnik

już już po pieśni chwyconej na pocałunku smycz



## mały mit

zgaś wieczór i obłoków aluminium  
w oknie twarz unieś  
ostatnie to linie  
giną w czarnych jedwabi łunie  
z mroków  
udręki posuch  
głos idzie żalną steczką  
w kołysce kroków  
tego głosu  
uśnij syneczku syneczku

świergocą miotacze gwiazd  
aż cienko szyba się odzywa  
dusi powolnie jak gaz  
kołysanka nieprawdziwa  
ale  
cienkie z pogańskich parowów  
parna osłoda nocy  
znowu  
tyle kochanej niemocy  
syneczku

zasypią cię czarne róże  
sen pod ciało podłoży się płomykiem  
sierpem  
a za sierpem wiosna zasadzka  
zasypano godziny cacka  
niepamiętania kurzem  
syneczku syneczku  
sobie nuć  
siebie smuć

ciebie  
nigdy nie było

## hymn

szumiąca  
chorągwi czarnych armią  
łopotem ogni  
śpiewem  
chwytasz znienacka za gardło  
serce roztrącasz  
zimnym zalewem

żyjemy błędzimy  
kołują na zegarach godziny  
za nikogo chyba  
płacze późną jesienią  
szyba  
do kogo śmieje się maj z wierzbiny  
mówiący słowo kwiatowe  
wieczornym ceniom

kiedy ptak znad bystrzycy ulatuje wzwyż  
ziemia cała spada ciężką kroplą  
ścieżki pokrywa zieloność  
drogi się kładą na krzyż

woda ucicha za groblą  
biegną do swoich wewnątrz puszyste knieje  
i malejące kształty domostw  
ty jedna olbrzymiejesz

złoty na czole nocy  
nabrzmiwa znak twej mocy  
żyła piorunu  
potężnymi stopami wychodzi z mroku

drzeniem napętniający  
ciemną zatoką  
falujący  
grom

wielbi cię siła człowieczej gliny  
śmierci  
winna bez winy

ginąc na lądach  
w powietrzu płonąc  
jak zorze  
niespodziewane  
przywaleni w kopalniach gruzu kolaniem  
śpiewamy  
głodem żelazem wybuchami  
ogniem i gazem  
tobie grożąca  
tobie nieunikniona  
królowo nocnego słońca  
nienasycona

## **złe dwie minuty**

słup ognisty wiotczał karminem tylko siał  
na tafle dnia i monstra nocy  
wicher upalny w oczy wiał  
naciągał struny  
złocił oczy

tonący tabun rzy  
a moczar jak moczar nic  
bulgoce słyszę śmiercią klaszcze rudawa topiel  
odwróć się świecie poręb globie rżysk  
nazbyt ubogi żłobie

straszno było

na drugiej stronie i tu złowrogi szept  
niepokój surowy drży zamiecie starcze wstają  
drzewa idą na siebie sceptr uderza w sceptr  
ciemność na ciemność wzajem

przepadaj gasną słupy przepadaj morze rdzy  
falami strzela w czas horyzonty w otchłań przelewa  
podniosę się ogromny szklany zły  
urosnę na cały mrok  
oczy złocone oczy ponad chaosem mam

jestem junak gniewu

## **dzieciństwo**

da ja mała pasturecka  
da strachom się wszystkiego  
da nie sułka jasiecka  
mego najmilejsego

śpiewała daleko gdzieś  
w słonecznikowych słońcach zagubiona  
wieś  
były prace polne czyjeś  
len się na kądzielach wije  
nie wiadomo jak stały chaty  
nie wiadomo dokąd szły drogi  
pamiętasz tylko sęk słońcem żywicą bogaty  
króliki pod progiem

może był papierowych różyczek wstąg  
nad ciemnym obrazkiem pokos  
może był z okien jak z łaskawych rąk  
miesięcznego blask potoku  
nie wiadomo jak owsy szumiały kąkolom  
nie wiadomo

niskie ule pod słomą  
zgrzane lato nad rzeką  
pachnące pachy pacholąt  
i ta śpiewka

da ja mała pasturecka  
da strachom się wszystkiego  
da nie sułka jasiecka  
mego najmilejsego

## preludium

1

o świecie wybuchły ptaki z mosiężnych ról  
smukła kobieta jasność przyniosła na głowie

2

dzwony nienasycone kołyski muzyczne  
wspominać zapominać wspominać

3

powiewie różowy jak twarz dziecka  
płomyku podcinający niewysoką trawę  
ciemnym kwiatem makowym skinę  
nieruchomy zapach uderzy mnie i zginę

4

jeleń stoi u źródła struga szepce ave

## **provincia noc**

1

ze wzgórz promieniejące i zielone za dnia  
w zmierzchu piękno Kazimierza wzbiera w wonny nadmiar

żarzą się gwiazdy sypią broczą  
w gwiazdach wygony baszta mlecznej drogi nurt  
miasteczko ma okna z bursztynu  
i tak ukazuje się oczom  
zawieszono u gór

widnokraj z uciętym zamkiem  
i jeszcze Łysicą trzykrzyską  
oddycha bardzo blisko  
jakby rękę położył na klamkę  
nie otwierając drzwi

nie otwieraj innego raju

dość mi  
że drugi mleczny szlak  
także gwiazdzisty  
w dolinie spoczywa płowej  
gdzie pod wieczoru zapachem czystym  
wisła ogromna mając ramiona założone pod głowę  
leży na wznak  
śpi

2

miasto jabłonkowe dobranoc

pył w dolinach opada  
most u rzeki przystanął  
gada

w zapachu owsów pszenic  
po dachach niskich kamienic  
wesoło  
po ścieżkach po niwach  
toczy się wkoło  
pełnia szczęśliwa

za jabłonkowym wieńcem  
kościół podnosi wieżyce  
wspina się białym źrebięciem  
w niepokoju  
że nie może się srebrem nasycić  
księżycowego wodopoju

to nic  
ciemność cię muśnie  
rzęsą malowaną  
w kolory pawie  
i uśniesz

dobranoc krasnystawie  
dobranoc

3

alei bardzo szerokich ciemnozielony bukiet  
i jak muzyczny motyw  
przelatujący łukiem  
nocny motyl

drzewa wielkie na niebie  
rzeka wielka na ziemi  
i most daleko sięgający ręką  
do gwiazd prawie  
i gwiazdy oczyma dobrymi  
nad pałacem mrugające prędko



o wspomnienie pachnące wodą  
przychodź

drzewa wielkie wy umiecie młodo  
oddychać  
szumiąc nad trawą  
dalom  
wzgórzom falom  
puławom

4

kamienie kamienice  
ściany ciemne pochyłe  
księżyc po stromym dachu toczy się jest nisko  
zaczekaj zaczekajmy chwilę  
jak perła  
upadnie na rynku lubelskiego miskę  
miska brzęknie

w płowej nocy  
po kątach nisz głębokich  
po bram futrynach i okien  
załamany  
bez mocy  
cień fijołkowy uklęknie

gwiazdy żółte które lipcowy żar ściał  
leca kurzawą leca  
firmament w złote smugi marszcza  
za trybunałem  
na ślepych szybach świecą  
cichym wystrzałem

noc letnia czeka cierpliwie  
czy księżyc spłynie zabręknie  
czy zejdzie ulicą grodzką w dół  
on się srebliwie rozplywa  
w rosie przedświtu w aromacie ziół

jest pięknie